

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYSIEWICZ. Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOŚI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..... 81.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyl, Afryki i Australii..... 81.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIEM NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONA.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 26. Chicago, Ill., Czwartek, 30-go Czerwca, 1898 Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajner).

(Ciąg dalszy).

— To nic nie znaczy. Znów pobijesz Tatarów i car znów zawoła cię przed swoje oczy. Odrętnym, rozumie się, już nie będziesz, lecz jeśli poprosisz, to cię do opry cznictwa zaciagną. A chociażby ci się nie zdarzyło bić Tatarów, zawsze wrócisz w nasze strony, gdy minie załoba Helenie Dmi- trjewnie. Tego zaś się nie obawiaj, żeby przywdziała suknie zakonną, tego nie uczy- ni. Lepiej od ciebie znam serce kobiece — nie z miłości wyszła za Morozowa, po co ma teraz włosy strzydz i zakonnica zosta- wać? Poczekaj trochę, aż krew ostygnie i wyjdą łezki, a ja, jeśli zechcesz, będę przy tobie i będę cię tulił.

— Dziękuję ci, Borysie Fedorowiczu.

Wstyd mi, żeś tyle już dla mnie dobrego wyświadczył, a ja ci się nijak odwzajemnić nie mogę. Gdybym miał za ciebie iść na tortury lub życie w bitwie poświęcić, ani bym się zawahał. Do opry cznictw jednak to mnie nie zapraszaj. I przy carze zostawać także nie mogę, inaczej musiałbym albo sumienie stracić albo twoją posiadać mądrość. A tak tylko bym wam sprawy krzyżował. Każdy ma od Boga swoje przeznaczenie. Sokół ma inny lot, łabędź inny, byleby tylko prawdą żyli.

— To się znaczy, że już mi książę za złe nie bierzesz, że nie idę prostą drogą, jeno manowcami?

— Grzech bym miał brać ci to za złe,

XXXIX.

Ostatnie Pożegnanie.

Kilka dni szedł Srebrny z swoim oddziałem, aż pewnej nocy pozostawił opryszków a sam skręcił w bok do dziewiczego klasztoru na spotkanie Micheicza, który miał przynieść odpowiedź od bojarki.

Jechał noc całą bez ustanku. O świcie podjeżdżając do jednego pagórka, zoczył dopalające się ognisko i Micheicza, który się grzał przy niem. Oba osiodłane jego konie pasły się opodal.

Gdy Micheicz usłyszał tupot koński wskoczył na równe nogi.

— Batiutka książę Nikita Romanowicz — zawołał, poznając księcia — nie jedź dalej batuszka, wróć się, nie masz tam co robić!

— Co się stało? — spytał Srebrny z tęskniętem sercem.

— Wszystko już się skończyło, batuszka; nie użyczył nam Bóg szczęścia.

Srebrny zeskokczył z konia.

— Mów, co się stało z bojarką?

Stary milczał.

— Co się stało z Heleną Dmitryewną?

— powtórzył w rozpaczy Srebrny.

— Nie masz już więcej Heleny Dmitryewny — odrzekł ponuro Micheicz — jest tylko siostra Eudoksya.

Srebrny nie mógł ustać na nogach o własnej sile i oparł się o drzewo.

Micheicz smutnie patrzył na bojarzyna.

— Cóż robić Nikito Romanowiczu! Taką widać, była wola boska. Nie pod szczęśliwą gwiazdą musieliśmy się rodzić.

— Opowiadaj wszystko — rzekł Srebrny, przyszedłszy trochę do siebie — nie taluj mnie. Kiedy włosy obciął?

— Jak się dowiedziała o straceniu Drużyny Andreicza; gdy w klasztorze otrzymała synodik od cara z imionami wszystkich zamęczonych, by się modlili za ich dusze. Było to w wilię tego samego dnia, jakem niej przyjechał.

— Czy ją widziałeś?

— Widziałem, batuszka.

Srebrny chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł.

— Ale widziałem ją bardzo krótko —

dodał Micheicz — nie chciała z początku mnie przyjąć.

— Co ci kazała powiedzieć?

— Żebyś się modlił za nią, batuszka.

— A więcej nic?

— Nie, batuszka.

— Micheiczu — rzekł księżę po krótkiej przerwie — prowadź mnie do klasztoru, chcę się z nią pożegnać.

Stary pokiwał głową.

— Po co do niej, batuszka! Nie martw jej więcej, ona teraz zupełnie jak święta. Wróćmy lepiej i pojedziemy prosto na Zyzdremę.

— Nie mogę! — powiedział Srebrny.

Micheicz znowu pokręcił głową i przyprowadził do bojarzyna jednego z swych koni.

— Siadajżeż na tego — rzekł westchnąwszy głęboko — twój zanadto zmęczony.

W milczeniu pojechali ku klasztorowi. Droga przez cały czas szła borem. Wkrótce usłyszeli szemrania wody i zoczyli strumyk wijący się między trzcina.

— Czy poznajesz to miejsce? — spytał smutnie Micheicz.

Srebrny połniósł głowę i zoczył pogorzelsko. Gdzieniedgie ziemia była skopana, a resztki zabudowań i złamane koło wodne, świadczyły, że musiał tam być młyn.

— Micheicz nie czekając na odpowiedź mówił:

— Gdy czarownika schwycili, to i siedzibę mu zrujnowali, myśląc że znajdą ukryte skarby, kura ich rodzica.

Srebrny rzucił błędne spojrzenie na pogorzelsko i w milczeniu pojechali dalej.

Po kilkugodzinnej jeździe las zaczął rzedzieć. Pomiędzy drzewami zabielał się kamienny mur a na czystej polanie wzrok milczących jeźdźców dostrzegł dziewiczy klasztor. Nie stał podobnie jak inne klasztory na wzniesieniu. Z wążkich, zakratowanych okien nie widać było obszernych ziem klasztornych, i oko napotykało wszędzie gołe tylko pnie i ponurą zieloność sosień, co otaczały mur dokoła. Klasztor ten należał do biedniejszych.

Jeźdźcy poschodzili z koni i zastukali do furty.

Po upływie kilku chwil dało się sły-

szczę brzęczenie kluczy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł cicho Micheicz.

— Na wieki wieków; amen — odpowiedziała siostra odźwierna, otwierając furtkę. — Czego mili bracia potrzebujecie?

— Siostry Eudoksy — rzekł półgłosem Micheicz, nie chcąc tem imieniem rozkrzewiać serca swego pana — znasz mnie przecie siostro, bo nie dawno tutaj byłem.

— Nie bracie, nie znam, przed chwilą zastąpiłam siostrę Agnieszkę.

Tu zakonnica podejrzliwie wejrzała na przybyszów.

— To nie siostra — mówił Micheicz — puść nas, powiedz przełożonej, że przyszedł książę Nikita Romanowicz.

Odźwierna rzuciła bojaźliwe spojrzenie na Srebrnego, cołnęła się w tył i zatrzasnęła furtkę.

Słychać było jak szybko odchodząc, szepotała: "Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!"

— Co to może znaczyć? — pomyślał Micheicz — dla czego się tak zestrachala mego bojara?

I spojrzał na księcia i zrozumiał, że jego zakrwawiona broń, porwana koleczastymi krzaki odzież i zropaczona twarz musiały przestraszyć odźwierną. Bo też i twarz ta księżęca tak była zmienioną, że nie poznał by bojarzyna Micheicz, gdyby był razem z nim nie przyjechał.

Po chwili znów dały się słyszeć kroki odźwiernej.

— Nie gniewajcie się panowie — powiedziała niepewnym głosem z za furty — przełożona nie może teraz was przyjąć, przyjedźcie lepiej jutro po jutrzni.

— Nie mogę czekać! — zawołał Srebrny i huknąwszy nogą w furtkę wyłamał zawiasy i już był za murem klasztornym.

Przed nim stała przełożona klasztoru prawie tak blada, jak i on sam.

— W imię Jezusa Chrystusa! — rzekła drżącym głosem — wiem po coś przyszedł, lecz Bóg cię skarże i niewinna krew spadnie na twą głowę.

— Poczciwa matko — odrzekł Srebrny, nie pojmując jej przestachu, ale za bardzo wzburzony, by się dziwił — poczciwa ma-

tko, puść mnie do siostry Eudoksy! Pozwól mi się z nią pożegnać.

— Pożegnać się! — powtórzyła zakonnica — zali na prawdę chcesz się tylko pożegnać?

Srebrny znów powiedział:

— Poczciwa matko daj mi się z nią pożegnać, a cały majątek oddam na twój klasztor.

Przełożona spojrzeła nań z niedowierzaniem.

— Wpadłeś tutaj przemocą — ozwała się — mówisz, że jesteś księciem a Bóg wie co ty za jeden! Bóg wie po coś przyjechał! Wiem, że teraz jeżdżą oprycznicy po świętych klasztorach i męczą zony i dzieci tych nieszczęśliwców, których niedawno stracono w Moskwie. Siostra Eudoksyja była żoną straconego bojarzyna.

— Jam nie oprycznik! — odparł z pełną dumą Srebrny. — Wszystką swą krew bym oddał za bojarzyna Morozowa. Puść mnie do bojarki, poczciwa matko puść do niej.

Widocznie otwartość i szczerowość musiały być wryte w rysach Srebrnego. Zakonnica się uspokoiła i spojrzała na niego z współczuciem.

— Zgrzeszyłamże przed tobą — rzekła — ale chwala Chrystusowi i Przenajświętszej Jego Matce, widzę teraz, że się omyliła. Chwała niech będzie Chrystusowi, Przenajświętszej Trójcy i wszystkim śś. Pańskim, że nie jesteś oprycznikiem. Nastraszyła mnie odźwierna, ażem myślała tylko, jakby tu siostrę Eudoksyę ukrył! Ciężkie czasy nastały teraz na nas, bracie. Nawet w klasztorze nie możesz być bezpiecznym od zajądłości opryczników. Jeśliś krewny lub przyjaciel Morozowa zaprowadzi cię do Eudoksyi. Idź za mną, bojarze, tedy koło kaplicy, jej cela w samym ogrodzie.

Zakonnica poprowadziła księcia przez ogród do samotnej celi, gesto wysadzonej dokoła głógiem i jałowcem. Tam, w wejściu, na ławce siedziała Helena, w czarnym ubraniu i w welonie. Ukośne promienie zachodzącego słońca padały na nią przez geste klony i pożyły nad jej głową ich wiejdące gałęzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stary Komedyant,

(POWIEŚĆ.)

(Dokończenie.)

— Nie myśl o mnie nic złego, — odpowiedział jubiler; — chodziło tylko o to, aby naprawić pomyłkę. Małe nieporozumienie i nie więcej, ale cała moja egzystencja byłaby skompromitowana, gdyby się pokazało, że to ja byłem, którego ścigano. Bracie, czy będziesz nadal milczał, jak milczałeś dotychczas?

— Będę milczał dla pamięci na naszą matkę; tylko tego odemnie nie żądaj, abym twój winę wziął na swoje barki. Nie wymienię nigdy twego nazwiska, ale niewinności swej będę bronił, chociażby mi nie dawali wiary. Niech i mi do więzienia zamkną — owszem — rychlej czy później będą musieli mię puścić; a chociażbym w oczach ludzi uchodził za zbrodniarza, to wiem, że sumienie moje czyste.

— Nie, oni cię nie wtrąca do więzienia, ani cię potępią, — rzekł Karstner spiesznie; — jeszcze tego wieczora ujdziesz tu stąd — Hilgendorf wie o tem — on sam otworzył te drzwi, przez które będziesz mógł uciec; ja mu wszystko wyznałem.

— Wszystko? — zapytał Maciej znacząco.

— To jest — poprawił się jubiler, — powiedziałem mu tymczasowo tylko tyle, że jesteśmy braćmi. On ci tu odsyła medalion naszej matki, a tę sakiewkę — dodał wręczając mu dar Hilgendorfa, — przyjmij odemnie. Jak tylko godzina upłynie, korzystaj z drogi, która ci stoi otworem i uciekaj. A teraz żegnam cię, bracie!

To mówiąc podał Maciejowi rękę, ale on go raz jeszcze przycisnął do serca.

— Pójdę sobie, — rzekł, — bo co mnie o to pytać, co tu u mnie będą sądzili! A tobie ciężar zdejmę ze serca. Żegnam cię, bracie, nie zobaczymy się w tem życiu więcej!

Karstner przyjął uścisk brata dość o-

bojtnie. Nagle się cofnął; twarz jego, której starał się nadać wyraz łagodny i czuły, przybrała dawną swą oziebłość i surowość, bo na kurtyarzu usłyszał głos swego kuzynka Emanuela, który się zbliżał, nucąc wesołą piosenkę. Teraz klucz włożył do zamka, otworzył z szelestem i wszedł do izby widocznie podochocony.

— No jakże, wuju, — zapytał, — czy temu zebrażącemu komedyantowi już dosyć naprawiłeś morałów? Pan Hilgendorf prosi cię do stołu, — znakomite wino reńskie, przewyborny szampan — alez do kata, czy tu wszedłeś dziurką od klucza, skoro ja dopiero drzwi zewnątrz otwierać musiałem?

— Pan Hilgendorf dał mi klucz do tego bocznego pokoju, który naturalnie zaraz znowu za sobą zamknąłem. Już tu nie mam co robić; ten człowiek nie jest owym zbrodniarzem, który przed dość dawnym czasem zakradał się do mego handlu i został schwytanym.

— Ale zawsze złodziejem, prawda stary? Przyznaj się lepiej wprost i nie rób tym panom jutro ambarasu, bo to przeszkadza dobremu trawieniu; a zatem wyznaj!

— Nie mam co wyznawać, mój młody panie! — rzekł komedyant pokornie, ale stanowczo; — zareczam, że jestem niewinny.

— Tak wszystkie podobne ptaszki śpiewają, — zaśmiał się Emanuel, — ale oni cię już schwycą. Jeszcze jedno, stary: ta piosenka o owem jasnowłosem dziewczęciu, którą dziś swoim skrzeczącym głosem odbezczałeś, wcale mi się nie podoba; ja ją muszę mieć i dobrze ci ją zapłacę; przyjdź do mnie, gdy swój czas w kozie odsiedzisz.

— Nie do ciebie, mój panie, prowadzi moja droga, — odrzekł Maciej poważnie; — daleko, daleko w świat pójdę i nigdy już w tę okolicę tu nie powrócę.

— Czyż już sobie dostateczny majątek

wycygnięś? — zawołał Emanuel; — czy już masz dosyć, aby sobie własne założyć ognisko, skoro gardzisz uczciwym zarobkiem?

Oblicze starego komedyanta zadrgnęło; konwulsyjnie ścisnął pięści, jak gdyby chciał powściągnąć namiętność, która w nim wybuchła, potem odpowiedział:

— Na co mnie ognisko? Nie mam żony, nie mam dziecka; żonę pogrzebałem, a syn mój dla mnie stracony — stracony na wieki!

Łzy mu głos przytłumiły.

— Chodź, Emanuelu, — odezwał się wuj, — na nas czekają.

— Zaraz, zaraz, — odparł młody człowiek z uporem pijanego: — ta historia zaczyna być ciekawą. A więc syna straciłeś, stary? Nie zamieściłeś ogłoszenia w gazetach?

Maciej odwrócił się.

— Uszanuj boleść ojca, młodzieńcze! Sześć lat liczył mój Feliks wtenczas, gdy wojna w tej okolicy wybuchła, w której go oddałem pewnemu zacnemu nauczycielowi na wychowanie. Byłem wtenczas daleko od tych stron, a gdy przybyłem, aby dziecko ocalić, zastałem wieś obróconą w perzynę, nauczyciel nie żył, a syn mój, Feliks znikł bez śladu. Wszystkie poszukiwania były daremne; nieszczęsna wojna wszelki ślad zatarła.

Już przy pierwszych słowach komedyanta Emanuel ciekawie nadstawił ucha, a i Karstner był zadziwiony; im dalej zaś Maciej mówił, tem gwałtowniej zwiększał się niepokój młodzieńca.

— Dosyć! — zawołał naraz, — aż nadto dosyć, aby szanownemu kawalerowi pokrzyżować szyki! Stary, tyś nieopłacony!

— Emanuelu! — zawołał Karstner przerażony, — co chcesz czynić?

— Pewnym ludziom napluć w kaszę! — zawołał fircyk wśród gburowatego śmiechu. — Feliks — wojna — wioska — nauczyciel — wszystko się zgadza — ha, to będzie niespodzianka dla wszystkich! Poczekaj, starcze, poczekaj, zaraz ci przyprowadzę twojego syna!

— Mojego syna! — krzyknął Maciej, — mojego syna?

Karstnerowi włos się najeżył z przerażenia; chłopak w pijanym swym szale go-tów był zniweczyć plan jego tak pięknie ułożony.

— Emanuelu! — zawołał przytrzymując go gwałtownie, — ty nie pójdziesz, ja ciżakuję — — —

Ale Emanuel się wyrwał i popędził naprzód, a za nim bez tchu spieszył wuj, aby go odwieść od tego kroku, który Karstnera mógł zgubić. Mimowolnie nasunęła się jemu myśl, czyby Maciej dłużej go oszczę-dzał, gdyby o to chodziło, aby w oczach własnego syna udowodnił swoją niewinność? — Ale zamiar jego się nie udał, bo już Emanuel rozgorączkowany i rozpalony drzwiami na rozcież otworzył i wpadł do salonu, w którym pan Hilgendorf z gośćmi siedział u stołu.

Zdziwiony spojrzął pan domu na wchodzącego i zapytał:

— Jaki pan rozgorączkowany! Cóż się stało? Gdzie wuj?

— Co się stało? — bełkotał Emanuel, którego spokojne i poważne spojrzenie pana domu roztrzęsowało, a który mimo to wdawniejszy wprawił się nastrój: — bardzo ważne odkrycie: — małżeństwo panny Agaty Hilgendorf z Feliksem jest niemożliwe!

W tej chwili pojawił się Karstner w progu salonu.

— On pijany! — zawołał, — nie słuchajcie go państwo! Do łózka z nim!

Tak wołając ponownie uczepił się Emanuela i chciał go wyciągnąć z salonu, ale młodzieniec wszystkimi siłami się opierał.

Pan Hilgendorf przystąpił do obydwoh.

— Czy dowiem się wreszcie przyczyn pańskiego zachowania się, takiego zachowania się gościa, którego przed innymi gośćmi powstydzicie się muszę? — zapytał surowo i z energią. — Dla czego zaślubie nie niemożliwe? Żądam natychmiastowego wyjaśnienia!

— Bo pan nie oddasz swej córki synowi włóczęgi i żebrzącego komedyanta, — zawołał Emanuel, — a chociażbyś pan był wyższym nad wszystkie przesady, a tyś na to nie zważał, to pana pytam: czy syna złodzieja za zięcia chcesz przyjąć?

Krzyk Agaty przegłuszył okrzyk oburzenia i rozpacz, jaki się wyrwał z piersi Feliksa. Blady z iskrzącymi się oczyma przyskoczył do Emanuela, pochwyił go tak silnie za piersi, że firmyk o mało nie zemknął i syknął przytłumionym głosem:

— Lotrze, łiesz!

Pan Hilgendorf wstąpił pomiędzy obydwoh.

— Ja nie łże! — krzyknął wyswobodzony Emanuel, — idź do góry, do tej izby, w której komedynta zamknęliście, i niech ci opowie tę rozczulającą historią o straconym synu — hehehe — a potem wypraw go dy radosne jutro we więzieniu!

Feliks nie odpowiedział słowa; jedno tylko spojrzenie rzucił na Agatę, spojrzenie, w którym się odbijały wszystkie uczucia zbolalej jego duszy, a potem wybiegł z salonu.

Pan Hilgendorf wprowadzie rychło się uspokoił, ale skutki tej przykrew sceny aż nadto wyraźnie odbijały się na jego obliczu.

— Byłoby to okropnie! — szepnęła, — okropnie! — Ależ chodźcie państwo! — zawołała na gości, nie możemy ich pozostawić samych!

Za gospodarzem pospieszyli goście na pierwsze piętro; nawet Agata, strwożona i drżąca, przyłączyła się do mężczyzn, bo chociaż czuła, że ją siły zaczynają opuszczać, musiała być świadkiem tego, co się tam u góry miało wydarzyć. Możeby słowo pociechy podtrzymała Feliksa mogło w najczarniejszej życia jego godzinie. Emanuel sam tylko pozostał; wskutek zbytku wina i rozgrzankowania nie był zdolny już utrzymać się na nogach. Padł na fotel i zasnął; co on tam pytał o łyż serc rozdartych! Dostyć mu było na tem, że dogodził swej zemście.

Stary komedynt Maciej klęczał w swej izbie; czy ten niegodziwy młodzik zdrwił z niego, czy też to było rzeczywistością. Ze raz jeszcze zabył się mu szczęście, szczęście niespodziewane na ciemnej życia jego drodze? — Drząc cały z trwogi i nadziei słuchał na każdy szelest pod jego nogami — usłyszał głuchy gwar — teraz ktoś spiesze biegł po schodach, drzwi się otworzyły a Feliks stanął na progu.

Tuż za nim weszła reszta towarzystwa,

bo Feliks przed drzwiami stał jeszcze przez chwilę, aby przyjść do siebie, bo uważał, że nie był w odpowiednim nastroju, by stanąć przed tym mężem, który — jeżeli Emanuel mówił prawdę — miał do niego prawa ojcowskie. Teraz już był spokojny, chociaż smiertelna błądność twarz jego pokrywała.

Wzrok jego padł na klęczącego starca, który na pół z obawą, na pół z nadzieją ku niemu spoglądał. Dziwnego doznał uczucia, gdy się ich spojrzenia spotkały; teraz czuł na pewno, że nikogo innego, tylko ojca miał przed sobą. Otworzył usta, chciał się odezwać, ale głos mu w piersiach zamarł i padł złamany na krzesło.

Zamiast Feliksa odezwał się Hilgendorf.

— Wstań, — rzekł łagodnie do drżącego starca; — masz tu przed sobą tylko takich ludzi, którym możesz zaufać: — jak się rzecz ma z twoim synem?

Maciej powstał; błędny prawie wzrok jego, który dotychczas na Feliksa był zwrócony, spotkał się z rozpaczliwym spojrzeniem Karstnera. Nieznacznie ku niemu skinął głową, jak gdyby chciał brata uspokoić, a potem zawołał w największym uniesieniu:

— Panie, jeżeli to prawda, że mam go odzyskać, jeżeli nie łudzącym snem tylko — jak Bóg żywy z nieba na nas patrzy, przysięgam wam — nie jestem złodziejem!

Złodziejem! — Jakoby miecz obusieczny słowo to na wskrosz przeszło serce Feliksa, wstrząsł się, jakoby dreszczem przejęty, zerwał się z krzesła i przystąpił do starca.

— Słuchaj mnie, — rzekł szorstkim, ochryplym głosem, — ja to byłem, który ujrzałem złodzieja przy biurku mojego opiekuna — błyskawica twarz jego oświeciła, — ale mimo to nie dość wyraźnie go poznałem, abym z pewnością siebie mógł powiedzieć: to ty byłeś, bo inne nazwisko wymówiły mimowolnie moje usta. Ciebie zaś znaleźliśmy w tem miejscu, do którego zbrodniarz był uciekł, a chociaż się zaparłeś zbrodni, nie zdołałeś udowodnić, żeś niewinny. Zastanów się, — dodał błagalnie wnosząc ręce, — nie prosi cię o to człowiek, któryby żadną miarą niewinnego nie chciał posądzić, nie, jeżeli mię wszystko nie myli, to twój własny syn się zaklina — — —

— Boże miłosierny, który nas widzisz i sądzić mię będziesz, połów koniec tym udęczeniom! — zawołał Maciej bezprzytomny prawie. — Nie mam żadnego dowodu, prócz sumiennego zaręczenia.

— O tem potem, — przerwał pan Hilgendorf; — nasamprzód o rzeczy najważniejszych. Jak się mają rzeczy z twoim synem? Opowiedz krótko i zwięźlowato!

— Nie długa to historia. Miałem brata, który był o tyle poważnym, oszczędnym i statecznym, o ile ja byłem wesołym i lekkomyślnym. Fałszywy przyjaciel wkraść się pomiędzy nas i zasiał pomiędzy nami niezgodę i nienawiść. Rodzice moi byli skromnymi wieśniakami. Jako młodszy syn byłem ich ulubieńcem — ale ów przyjaciel dolewał oliwy do ognia, aby mię i przed rodzicami oczernić. To się też jemu zupełnie udało. Odtąd miałem w domu życie jak w piekle; tylko dobra moja matka była po mojej stronie, chociaż gorzkie dla tego łzy musiała wylewać. Takiego życia dłużej znieść nie mogłem. Komedycanci przybyli do wsi, a ja z nimi uciekłem. Tak upłynęły lata całe. Lekkomysłnym sposobem prowadziłem życie na sposób cygański, wesoło, ubogo ale uczciwie. W pewnym mieście rozmiłowałem się w córce małego kupca; panna była mi wzięmną, chociaż już nie byłem bardzo młodym. Pomówiłem z jej ojcem, a ten poznawszy mię, że byłem wprawdzie lekkomyślnym, ale uczciwym, zgodził się na nasz związek, ale pod tym warunkiem, abym żony mojej nie wprowadził do grona komedyantów tylko ją zostawił w domu; sam zaś miałem jeszcze kilka lat w dotychczasowym zawodzie pracować i zaoszczędzić sobie nieco grosza, a potem powrócić i zostać jego spółnikiem i następcą. Z radością przystałem na ten warunek. Kościół pobłogosławił nasz związek, a ja po krótkim czasie powróciłem do swego zawodu na scenie. Czas upływał. Małgorzata obdarzyła mię synkiem — ja zaś oszczędzałem, niedojadałem, sknerałem jak żyd, a każdy talar, który na bok odkładałem, srebrnym swym wdziękiem uśmiechać zdawał się do mnie; a gdy wieczorem udawałem się na spoczynek czyzy i zgłodniały, to mówiłem sobie, że tę ofiarę ponoszę dla mojej Małgosi i dla małego Feliksa.

— Jeszcze jeden rok upłynął. Wtem odebrałem list od mego teścia: Małgorzata zachorowała; choroba była niebezpieczna — nie było nadziei ratunku. Miałem korzystne stanowisko; porzuciłem je i podążyłem do mojej małżonki: — przybyłem tylko, aby zapłakać nad jej mogiłą. W dwa dni potem i ojciec jej na tę samą umarł chorobę. Nie miałem teraz już nic na świecie, tylko jedynego syna. Spadek po teściu równał się zeru, ale ja przecież jeszcze żyłem, ja ojciec, który mogłem pracować, oszczędzać i głód znosić dla syna, — aby wyszedł na pozYTECZNEGO człowieka, — lepszego od lekkomyślnego ojca. Oddałem go na wychowanie pewnemu zacnemu nauczycielowi w małej wiosce; tu byłem pewien, że po chrześcijańsku zostanie wychowany. Ja sam pracowałem w swoim zawodzie dalej; a pracowałem szczerze i oszczędzałem; najwięcej zaś i jedynym mojem szczęściem było, gdy raz każdego roku mogłem dzień jeden przy nim przepędzić, uściskać go i pobłogosławić. Dla niego tylko żyłem i o nim myślałem, gdy się przyłączyłem do trupy teatralnej, która się udawała do Ameryki, gdzie się obfitego spodziewano plonu. Raz jeszcze pospieszyłem do dziecka, a potem — dalej za morze do nowego świata! Przedsięwzięcie nasze korzystny zaczął uwieńczać skutek. Jeszcze kilka miesięcy — a mogłem powrócić do Europy do dziecka i zaoszczędzonym kapitałem rozpocząć inny zawód, a syna chować u siebie. Wtem doszła mi w Ameryce wieść, że wojna zagraża tej okolicy, w której było schronienie Feliksa. Trwoga przejęła mą duszę i już nie miałem spokoju; musiałem koniecznie powrócić, musiałem strzedz tego jedyneho, co jeszcze tu na ziemi posiadałem. Chciano mię gwałtem powstrzymać — ja uciekłem i przypadając na mnie część zysku zostawiłem w ręku towarzyszcy. Okręt, na którym się do Europy przepawiłem, żeglował prędko, a mimo to przyszedłem zapóźno — zapóźno! Wojna z wszystkimi swemi okropnościami nawiedzała cichą tę wioskę. Zacny nauczyciel już nie żył, a sześćcioletni mój Feliks znikł bez śladu. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Teraz sam pozostałem, sam na szerszym kim świecie!

Starzec zapłakał. Feliks z trudnością tylko zdołał nad sobą panować. Agata objęła ojca za szyję i zapłakaną główkę przytuliła do jego piersi.

— Wtenczas ciemno zrobiło mi się w duszy, — mówił Maciej dalej a głos jego prawie dzikim się stawał; — dla kogo żyłem, dla kogo głód nosiłem i niedostatek? Nie mając dosyć silnej religijnej podstawy, stałem się pastwą rozpaczy. Hoho, wnet się zjawili weseli towarzysze, połało się wino — zrobiłem się pijanicą. Ej, było to wesołe, hulaszcze życie! Codziennie się spodziewałem, że będzie koniec; ale nie, każdy poranek witał najnędzniejszego z nędzników, a gdy się wreszcie przebudziłem z tego szafu wśród grozy i obrzydzenia dla samego siebie, natenczas zostałem tem, czem teraz jestem: — starcem zużyтым i nędznym, zabraczym komedyantem.

— Niel — zawołał Feliks namiętnie, — nie, nie jesteś nim już — jesteś człowiekiem nieszczęśliwym i złamanym, ale teraz to będzie inaczej. Znalazłem cię; a tobie mię zachował ten mąż szlachetny, który mię jako chłopca ocalił i po ojcowsku wychował: — niech się stanie, co chce, ale ja cię już nie odstąpię. O mój ojczu, mój biedny, biedny ojczu!

Krzyk starego komedyanta dreszczem na wskroś przeszył wszystkich. Rozszerzył swoje ramiona, a syn mu się rzucił na szyję.

Maciej pierwszy się uspokoił. Łagodnie odsunął syna od siebie i rzekł stanowczym głosem:

— Ta jedna chwila radości wynagrodziła mi lata nędzy i cierpienia. Ujrzałem cię i wiem, że jesteś szczęśliwy. Znalazłeś swego ojca, ale ten nie chce być złym demonem, któryby cię od szczęścia twego odrywał. Niech o tem, co się tu w tej godzinie stało, nigdy już usta nasze nie wspominają: — Feliksie, odtąd już ojciec twój dla ciebie nie żyje!

— Nie! — zawołał Feliks: — odtąd z to wszystko będę znosił i będę dla ciebie pracował, tak jak ty kiedyś pracowałeś dla mnie — razem opuścimy Hilgendorf, skoro — Agata przyskoczyła do niego.

— Feliksie, chcesz mię porzucić?

Młodzieniec usunął ją łagodnie.

— Tu twoje miejsce u serca ojca, — rzekł przytłumionym od żalu głosem; bądź szczęśliwą, Agato. Gdy jeszcze pochodzenia swego nie znałem, mogłem jeszcze starać się o ciebie; nawet jako syn komedyanta odważyłbym się stanąć przed twoim ojcem; ubóstwa cecha spaść może na to nazwisko, które ja bym tobie przekazał, ale hańba spaść na nie nie może: — zapomnij o mnie!

— Ojczu, ratuj! — Bądź litościwym! — błagała Agata wśród łkania.

— O gdybym zdołał, — odrzekł Hilgendorf, — poświęciłbym połowę mego majątku; ale szlachetność Feliksa uławia mi ten tak przykry i okropny obowiązek. Dzieci moje, musicie się rozłączyć, rozłączyć na zawsze!

— Ależ jam niewinny! — zawołał Maciej w największej rozpacz. — Niech więc dla dobra mego syna tajemnica będzie zdradzona: — owym mniemanym złodziejem ja nie byłem jak Bóg na mnie patrzy i sądzić mię będzie!

Obecni na te słowa bliżej się koło niego skupili, podczas gdy Karstner na pół zemdlony oparł się o ścianę i podniósł rękę, zaklinając brata tym znakiem, aby milczał.

— Mów, ojczu, — rzekł Feliks, — mów dla szczęścia swego syna: kto jest winowajcą?

Maciej z jękiem padł na krzesło.

— Nie pytajcie, nie pytajcie o nic — jestem związany przysięgą.

Hilgendorf się zastanowił. Przenikliwie spojrzął na jubilera: Karstner zbladł jak ściana.

W tem ktoś zakołatała do drzwi i służący wszedł trzymając list w ręku.

— Do pana Karstnera, — rzekł: — bardzo pilny.

Podczas gdy jubiler mechanicznie rozłamał pieczęć, szeptał służący coś swojemu panu i potajemnie podał mu jakiś przedmiot, który Hilgendorf mocno zaniepokojony schował do kieszeni. Gdy wzrok swój znowu zwrócił na Karstnera, przeraził się widząc trupią błądź jego twarzy. Teraz jubiler postąpił naprzód, jakoby chciał odejść, ale się zachwiał, wybełkotał kilka niezrozumiałych słów i jak długi powalił

się na ziemię.

— Mój brat! — krzyknął Maciej w niezmiernej trwodze, — Boże wielki, mój brat!

Trudno opisać zadziwienie, jakie ogarnęło wszystkich przy wyjawieniu tej nowej tajemnicy; patrzeli, jak stary komediant klęczał przy leżącym Karstnerze i nad nim się pochylał — — —

— On żyje! — zawołał, — serce mu bije — czempredzej po lekarza!

Służący wybiegł spiesźnie, a mężczyźni złożyli zemdlącego na sofie. Hilgendorf pochylił się, podniósł list, który Karstnerowi z ręki wypadł na ziemię, i po krótkiej walce wewnętrznej zaczął go czytać: Treść jego była następująca:

— Czy Ci się udało przemienić garnitur, lub nie, — uciekaj! Radzca Gollner wykrył, że zamiast prawdziwych brylantów dostał naśladowane i zadunucyował Cię o oszustwo; na jego ręce złożyli Twoi wierzyciele swoje pretensye — on nie zna, co to względność — jesteś zgubionym! Mnie już więcej oglądać nie będziesz, uciekam do Ameryki; co mi się z Twego kramu udało spieniężyć, to zabrałem ze sobą na drogę.

Michał Gerdau."

Nie mówiąc słowa udał się Hilgendorf do swego pokoju, otworzył biurko i z górnej szuflady wyjął puzderko z garniturem; potem wydobył z kieszeni ten przedmiot, który mu przed chwilą był oddał służący: było to zupełnie takie same puzderko. Gdy je otworzył, przekonał się ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że oba garnitury do siebie były tak podobne, jak dwie krople wody, ale z miną znawcy przypatrzył się złotu i brylantom — — los Karstnera był rozstrzygnięty.

Zaraz potem powrócił do górnego pokoiku i z poważnem obliczem zbliżył się do jubilera. Ten przyszedł nieco do siebie i siedział podniesiony na sofie mrużąc niezrozumiałe wyrazy; twarz jednakże była zmieniona do niepoznania.

— Bogumile Karstner, — odezwał się Hilgendorf wzruszonym głosem, — czy pan zrozumie, co mówię? Chodzi tu o nas wszystkich i o pana. Radzca Gollner jest moim

przyjacielem; jedno tylko słówko z mej strony, a — —

— Czego chce ten człowiek? — jęknął jubiler. — Ja za nic odpowiadać nie mogę — co mnie do tego, co robił Gerdau? Gerdau łotr — — —

Hilgendorf wyjął z kieszeni puzderko i otworzywszy je, trzymał przed oczami Karstnera.

— Czy to także Gerdau zgubił w moim ogrodzie ten garnitur, który służący znalazł w końcu alei przy płocie cierniowym? Ten garnitur, tak bardzo podobny do mojego, z tą tylko różnicą, że fałszywymi kamieniami wysadzany? Teraz mi się wszystko wyjaśnia; list Michała Gerdaua był promykiem światła, zesłanym przez Boga, aby obronił niewinnie posądzonego. Niewinny jest ten człowiek, który do zebrańcego kija prawie doprowadzony, ale wolny od wszelkiej zbrodni i krzywdy tułał się po świecie; ale tym, który gościnność mego domu w tak haniebny sposób nadużył, który w zbrodniczym zamiarze zakradł się do mego pokoju, jest ten oto!

Krzyk oburzenia wyrwał się z ust wszystkich gości — ale spojrzenia Agaty i Feliksa spotkały się z wyrazem największego szczęścia.

— Ratuj go pan, to brat mój, a — dodał ciszej, — na obliczu jego śmierci wypisana.

— Będę go ratował, — odrzekł Hilgendorf z cicha — o ile na to zasługuje. Słuchaj mię pan, panie Karstner, — mówił dalej głośno; — jeżeli panu zaręczę, że radzca skargę cofnie; jeżeli panu dostarczę środków do założenia nowego interesu w innym mieście: — czy pan wyznasz prawdę i wyjaśnisz — — —

Jubiler opuścił głowę — chrapanie wydobywało się jemu z piersi.

— Bogumile! Bogumile! On umiera! — zawołał Maciej rzucając się na niego. — Ratujcie! Ratujcie!

Raz jeszcze Karstner otworzył oczy.

— Nie potrzebuję już nic, — szepnął — paraliż uderzył w głowę i serce — koniec zrobił — oby mi był liतोściwy! Bracie, przebac mi, tyś był lepszy odemnie, i wzgardzony i sponiewierany. — Ja wszę-

dłem przez okno — chciałem oszukać — to rada Gerdausa, — ja uciekałem — ja — ja —

Jeszcze jedno chrapanie i konwulsyjne drgnienie — a dusza Bogumila Karstnera stanęła przed sędzią przedwiecznym.

Lekarz, który wkrótce przybył, zastał już tylko trupa; paraliż serca przeciął nić życia nieszczęśliwego.

Do głębi wzruszony ujął Hilgendorf rękę swej córki i zaprowadził ją do Macieja.

— Panie Karstner, — rzekł, — bo to właściwe swoje nazwisko odtąd pan znowu będziesz nosił, wyjdźmy z tego miejsca ponurego tamdotąd, gdzie nic nam ostatnich smutnych wypadków nie będzie przypominało. Śmierć zmasała wszystkie winy nieszczęśliwego, a radzca Gollner, przyjaciel mój, człowiek zacny i szlachetny, nie będzie się mścił aż po za grób; dziś jeszcze do niego napiszę. Do pana zaś, do tego niepoznanego i wzgardzonego, a szlachetnego serca męża, zwracam się w tej uroczystej chwili

li i proszę, abyś przyjął moją córkę za swoją i przyjął jej rękę dla swego syna.

Maciej nie mógł odpowiedzieć, tylko łzami się zalał. Błogosławiąc złożył ręce swoje na głowach kłęczących przed nim Agaty i Feliksa.

Na cmentarzu w Hilgendorf spoczywają zwłoki jubilera. Pan Hilgendorf zapłacił jego dług, a radzca proces umorzył i zapobiegł zniesławieniu nieboszczyka, nadto zajął się Emanuelem, który złamany i skruszony zmienił się do niepoznania, inne rozpoczął życie i na dobrego wy kierował się kupca.

Na cmentarzu w Hilgendorf obok swego brata spoczywają też zwłoki starego komedyanta, który przy dzieciach swoich przez kilka lat niezamąconem jeszcze się cieszył szczęściem, a grób jego zawsze świeże zdobią wieńce, ofiarowane przez czułe dzieci i — panią dyrektorową teatru, która je chociaż z dalekich stron nie omieszka przesyłać.

KONIEC.

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

CZEŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Zamek Waldbergen.

Onego czasu, kiedy szlachta grody jeszcze swoje rycerskie wśród najpiękniejszych okolic zamieszkiwała, mając upodobanie w cudach i powabach przyrodzenia, — żył w stronach Szwarewaldu na swoim zamku, utwierdzonym na wysokiej skale, hrabia Henryk, od swego dziedzictwa Waldbergen nazwany. Był on ostatnim potomkiem jednego z najdawniejszych domów rycerskich. Jego małżonka, szlachetna i niegdyś skromna dziewczica, pochodząca w wysokiego rodu

Sztaufów i od kilku dopiero lat z nim zaślubiona powiła mu miłuchnego i slicznego syna zaraz po pierwszym roku małżeńskiego pożycia.

Oton, tak się bowiem ów chłopiec nazywał, był radością swych rodziców. Matka bogobojna jego kształciła w nim młode i uległe serce jak najczulej z największą troskliwością, a ojciec doskonalił jego rozum i ćwiczył go wcześniej w znoszeniu wszystkich trudów i znojów, jakie się tylko dzielnemu rycerzowi mogą przytrafić.

Tak będąc wychowaniu swego syna zajęty hrabia wraz z małżonką ukochaną swoją, przepędzał z nią dni jak najszczęśliwsze. Nigdy nie został na zamku ów błogi domowy spokój zakłóconym, który najwyż-

szem jest szczęściem w każdej rodzinie. Hrabia sam unikał wszelkich wrzaskliwych zabaw. Cichą uciechę wśród grona kilku uczciwych rycerzów z sąsiedztwa przybyłych, przekładał nadewszystko. Przez to też odpowiadał zupełnie życzeniu swej małżonki, która tylko w Bogu, w hrabi swoim, w synie i w pięknościach przyrodzenia rozkosz miała. I mógłże się tu Oton inaczej kształcić jak podług przykładu rodziców swoich? Wszak on to tylko znał i tego sobie tylko zyczył, co mu ojciec i matka w umysł wpoili.

W błogiej zgodzie upływały im lata nieznacznie. Ile razy po długiej i przykrej zimie wesoła zjawiała się wiosna z miłym wietrzykiem, wziął hrabia swoją Teodorę pod rękę i pobiegł z nią oraz z Otonem, obok siebie idącym, do altany zamkowej, aby znowu użyć najprzyjemniejszej pory roku. O jakże się cieszyli, oddychając świeżem, czystym powietrzem! Wysuwając się z zimowych swych siedlisk ptaszki, bujały po gałązkach i nuciły o życiu odnawiającem się. Po ogrodzie brzęczały pszczoły, a śnieżyste kozy szczypały młodą trawę, wyrastającą na pagórku. Wszystko to wzbudziło tak słodkie uczucia w ich sercu, że razem oczy ku niebu wzniosłszy, wspólnie dobrotliwemu Bogu dziękowali za nową im daną wiosnę.

Czasem wznosił hrabia swego synka na rękę i pokazując mu góry wznoszące się w odległości, na których jeszcze bieluchne śniegi jak czyste zwierciadło połyskiwały, tłumaczył mu zjawiska wydarzające się w przyrodzeniu, i nauczał go o wszechmocności Boga, która wszystkie tak małe jako też wielkie rzeczy z niczego wprowadziła i od wieków z niewyrównaną mądrością w najściślejszym porządku utrzymuje. To wprowadziło chłopca w zadziwienie. Po każdym objaśnieniu przez ojca, wznosił swe rączki z dziecinnem rozczuleniem do góry szczęśliwi rodzice błogosławili mu. A kiedy ludzie ze wsi przechodzący z ust swojego łaskawego państwa miłe pozdrowienia słyszeli, wtedy powiadali z największą radością: "Jaśnie Wielmożny nasz Pan stał dziś znowu po pierwszy raz w altanie i pozdrowił nas jak najłaskawiej." Do tego

przydał jeszcze każdy z głębokiem westchnieniem: "O niechże mu też Pan Bóg raczy w jak najdłuższe lata i niech go ma zawsze w swojej opiece świętej, również Jaśnie Wielmożną Panią, małego panicza i cały dom tego dobrego Państwa."

A skoro lato nadeszło, opływno tam w tysiączne rodzaje cichej radości. Inne pominąwszy, chodził sam hrabia do żniwiarzy na pole a małżonka i mały Oton towarzyszyli mu. A jakże się cieszyli wieśniacy, gdy z nimi podług swego zwyczaju jak z dziećmi rozmawiał. Lecz dla obojga rodziców nie było więcej rozkoszy, kiedy mały ich synek ze złożonemi rękami przed nim stojąc, o jedeu przynajmniej snopek błagał dla biednych dzieci, które kłosa po polu zbierały. Z macierzyńskiem zapałem ucałowała go za to matka i ojciec uśmiechnął się do niego z upodobaniem i wysłuchał mu zawsze jego prośb, dając ubogim zbieraczom nie raz cały mendel zboża.

Inną razą wśród najwspanialszej nocy, kiedy miliony gwiazd na niebie błyszczały, stał hrabia z rodziną swoją na dziedzińcu i wychwalał synkowi piękność świata w ciemną noc szatę obleczonego. "Widzisz ty, rzekł, mój synu! wszystkie te światy Stwórcy nieskończenie wielkiego! Niepojętą wszechmocnością swoją utrzymuje on je pełen miłości na powietrzu i naznacza im najmądrszą przezornością drogi i koleje. O ucz się go poznaćże te najdobrotliwszą istotę i czej go z dziecinną niewinnością w rozważaniu jego mądrości i wszechwładzy. Ciesz się w głębi duszy, że ci jest wolno ojcem go nazywać. Jak wszystkie owe nieprzeliczone gwiazdy w prawicy swojej trzyma, tak i ciebie będzie miał w swej opiece, dopóki mu jego wiernem, dobrem dzieckiem będziesz. Skoro mu się zaś niepostępnym staniesz, odwróci się od ciebie, a ty wpadniesz w przepaść czarniejszą niż noc, gdzie ani jedna gwiazda nie świeci. Lecz wiem, że zostaniesz bogobojnym i dobrym jak dotąd, i że się będziesz nauki przestrog rodziców swoich trzymał, póki nie umrzesz."

"I ja jestem pewna, dodała matka, że mój synek najukochańszy tak uczyni." A chłopiec rozpląwał się we łzach z czułości i przyrzekł rodzicom po tysiąc razy, że ich

W jesieni nastąpiły inne uciechy wśród domowego zacisza. Hrabia bowiem chodził na polowanie a Oton musiał mu pomimo swojej wielkiej młodości towarzyszyć, ażeby się już wcześniej nałożył do znoszenia wielu trudów, które go w przyszłości oczekiwaly. Jakże się weseliła matka, kiedy chłopiec wesół i zdrowo do domu powrócił a ojciec jego odwagę i siłę wychwalać zaczął.

Ale największą uciechę przynosiły naszej rodzinie małe gody, które hrabia co jesień swym poddanym wyprawiał. Po obraniu ogrodu i winnic z owoców, kazał hrabia w jaki pogodny dzień jesienny wszystkich wieśniaków od największego do najmniejszego zwołać. Każdy też przybył, w najlepszą odzież ubrany na dziedziniec. Tu stał pod gąszczem kasztanami wielki stół a na nim leżały najwybrańsze owoce, jako też mnóstwo złotych i modrych winogron. Do tego stołu musieli się wszyscy zasiaść. Najstarsi usiedli na starszem miejscu, a Jaśnie Wielmożne Państwo między nimi. Przy tem rozmawiał hrabia z wszystkimi, którzy tylko tam obecni byli, toż samo i hrabina, a Panic bawił się nawet z dziećmi wiejskimi. — "Jak tylko zapamiętać możemy, mówili starzy do siebie, nie mieliśmy jeszcze tak dobrego, tak łaskawego, tak ludzkiego Państwa."

"Niech żyje Jaśnie Wielmożny Pan!" wykrzykiwało kilku, a wszyscy powtarzali to samo, rzucając kapelusze w górę. "Niech żyje Jaśnie wielmożna Pani! A Bóg miłościwy niech nam raczy doczekać w Paniczu równie dobrego Pana, jakiego teraz mamy."

Po takich wykrzykach wypróżniali wesoło szklanki na pomysłach café hrabskiej rodziny. A gdy słońce zachodziło, rozbiegło się całe zgromadzenie. Każdy opuścił ucieczony i z wdzięcznem sercem ich aż do bramy podwórza.

Przy zbliżeniu się zimy, siedząc cała hrabska rodzina w pokoju, przepędzała o wiele długie wieczory na wzajemnych rozmowach. Podług pięknego zwyczaju ówczesnych księżniczek i szlachcianek przedła Teodora na zgrabnem kółku z wiśniowego drzewa złote nici, albo nuciła piękne pieś-

ni, do których bardzo biegle na mandolinie przygrywała.

Hrabia tymczasem wycoczywał sobie na wielkiem poręcznem krześle, będąc dzienną czynnością znudzony, — rozgrzywał przy kominie zziębłe swoje członki i popijał z ulubionego sobie kubka stare reńskie wino. Przytem opowiadał swemu synowi śliczne powieści, a matka troskliwa dodawała swoje uwagi i nauki. Czasem bawił go opowiadaniem o przodkach swoich i nie opuścił ani jednej sposobności, przy której go mógł zachęcić do naśladowania szlachetnych czynów, którymi się owi wiecy mężowie wstawili. Jak oni, miał i Oton pocziwieć sobie postępować a przytem ani w nieszczerściu nie rozpaczać, ani na mniemanie ludzi niegodziwych zważać. Bogu zaś miał wszystkie swe kroki ofiarować i bać go się ciągle.

Oto są ciche, domowe rozkosze owej szlachetnej rodziny Waldbergen. Swoją łaskawością i ludzkością zjednała sobie najgłębsze uszanowanie i najszczerzą miłość u wszystkich włościan. Każdy był gotów za nią życie poświęcić. Nawet hrabiowie i rycerze z pobliskich grodów musieli jej sprzyjać, lubo z nimi bardzo mało obcowala. Podług swojej zasady mawiał bowiem hrabia nie raz: "Nie troszcz się o sąd świata; niech on cię ma za dobrego czy za złego to wszystko ci niech będzie jedno. Lecz to czyni co ci sumienie nakazuje; zresztą spuść się na Boga."

Skutek tej zasady pokazywał się też zawsze w jego jako też w Teodory postępowaniu, a żaden dzień nie upłynął, w którymby hrabia tej nauki w młode serce małego hrabiątka nie wpajał.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Dytrych Felzenhejm.

Pan Bóg często zsyła na ludzi, kiedy się tego wśród domowego szczęścia bynajmniej nie spodziewają, ciężkie dolegliwości, aby ich przez to w cnocie doświadczyć i tem bardziej umocnić w dobrych i szlachetnych ich uczynkach.

Tego też i rodzina Waldbergen doznać musiała. Ciche pożycie dobrych tych ludzi zatruwała kiedy niekiedy smutna jaka okoliczność. Dytrych z Felzenhejmu bowiem, dziki i gwałtowny rycerz rościł już od dawna prawo, lubo niesłuszne, do znacznej części dóbr hrabiego Waldbergen. A że ich dobrowolnie nie mógł dostać, zagroził hrabiemu, że go we własnych jego dobrach najężdzać będzie. I w rzeczy samej rzadko upłynął rok taki, w którymby ze zgrają olbrzymich rycerzów, w czarne zbroje uzbrojonych, nie wpadł do włości hrabskich. Wtedy on to wszędzie, po polach, łąkach i po wsiach zboże i bydło zabierał, a co gorza, palił i niszczył co tylko jeszcze całym zostało. Wreszcie sprzykrzyły się też hrabiemu te niegodziwości. Dla tego zwołał swych poddanych uzbroił ich i wypędził najęzdników z posiadłości swoich.

Odtąd ustały na niejaki czas te uciążliwe nawiedziny, tak, że sam hrabia mniemał, iż ów rycerz natarczywy spokojnie żyć zacznie. Ale jakże się tu omylił. Felzenhejm bowiem, usiłując tymczasem, aby mógł dla siebie jak najwięcej stronników zjednać, pokazał się znów pewnego rana, kiedy w jesieni wielkie mgły padały, i zaczął z wyuzdaną swoją zgrają jak dawniej, łupić i pustoszyć.

Skoro o tem hrabiemu doniesiono, kazał swych ludzi zwołać. A gdy się natychmiast z radością zeszli, tak, że cały dziedziniec napełnili, uzbrojono ich w przyłbice i pancerze i dano im broń. Hrabia sam był już w błyszczący pancerz przybrany, lecz stał jeszcze w pokoju między Teodorą a Otonem, którzy gorzkie łzy wylewali w obawie, aby się z nim na wieki nie rozstać.

Potem stanął hrabia przy oknie, i mówiąc do zgromadzonych wojowników, zachęcał ich do odwagi i mężności. Prosił ich także, aby go w tak okropnym położeniu nie opuścili, nadmienając, iż od tego dnia ich własne szczęście zależy. "Z Bogiem, rzekł, zebraliśmy się tutaj, i z Bogiem opuścimy te bramy i wypędzimy owego burzliwego rycerza z naszych granic w które się nieprawnie na zawsze chce wedrzeć. Tylko odważnie, dzieci, odważnie! Ja sam poprowadzę was będą walczył na samem czele.

Mam w Bogu nadzieję, iż sprawiedliwy mój miecz zwycięży. Wtedy to powrócimy dośnośnie z chorągwią tryumfu."

Tu wywijano po całym podwórzu mieczami i dzidami i wszyscy przysięgli jedno głosem, że za niego i jego rodzinę chętnie i w oczywistą śmierć skoczą. Uradowany tem hrabia, rozkazał, aby kilkanaście kubków winem nalewanych w koło krążyło. Pili więc wojownicy, to na zdrowie swego pana, to na waleczność swoją, to znów na blizkie zwycięstwo, o które Boga błagali.

Gdy się już posilili, dał hrabia znak i wszyscy wyciągnęli za bramę. Tu go oczekiwali, a jeden giermek trzymał mu konie na pogotowiu.

Hrabia bowiem bawił się jeszcze w pokoju. Pożegnanie z żoną i synem bardzo mu było przykre. Młoda i piękna Teodora uwiesiwszy mu się przy szyi, płakała rzewnie, a mały Oton trzymał go za rękę i rosił ją łzami gorzkiem. Stojąc rozczulony między obojgiem Henryk, spojrzął w niebo i rzekł: "Utulcie się! Modliłem ci się gorąco do Boga, aby mnie szczęśliwie z potyczki wyprowadził. Pogodne jego niebo zapewnia mnie, że moje modły wysłuchane. Skoro więc zmierzchać zacznie, będę znów leżał w waszych objęciach. Lecz jeżeli jest w radzie świętej Przedwiecznego zapisane, że mam paść ofiarą w tej utarczce, a nie pograżajcie się, proszę was. Wszak wiecie, gdzie się znów zobaczymy. Krótko tylko będzie ta przerwa na ziemi aż się znów w lepszej znajdziemy krainie.

Potem rzekł do małżonki: "Teodorolty wierna towarzysko życia mojego. Ale przebac mi te słowa, które ci tak smutne myśli w tkliwej twej duszy budzić muszą. Jeżeliby ci jaki posłaniec donieść miał, żeś legł, wtedy odprawiwszy go, usiądź sobie gdzie w jakim kącie i wypłacź się aż do sytości. Łzy są potrzebą dla naszego rodu, a zmniejszają boleść duszy. Lecz nikt nie może zabronić. Ja sam bym tak uczynił. Potem zaś upamiętaj się, klękni i módl się, wiedząc, że tak Bóg przeniajświętszy zechciał, abym z tobą na krótki chociaż czas został rozłączonym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RZEŻ W KROŻACH.

(Ciąg dalszy.)

Oszukiwali nas! Zwodzili nas do tego czasu jak tylko chcieli. Moskale także zwodzą nas przez gazety, przez książki, przez usta sług i agentów swoich, głosząc, że car jest naszym miłościwym dobrodziejem a wierząc w to, błagaliśmy cara o pozostawienie nam kościoła! Nie załowaliśmy ani pieniędzy na prezenta dla sług carskich, ani zdrowia; czekaliśmy odpowiedzi od cara, błagając go (*wskazuje ręką nazabitych.*) Oto odpowiedź cara! Przysłał gubernatora z uraźnikami, którzy jak dzikie lwy rozdzierają ciało naszych braci. Mnie zabijają, ale wy, którzy jeszcze żywi pozostaniecie, bądźcie rozumniejsi.

Jan (*do ludu.*)

Bracia, pójdźmy do kościoła, spytajmy gubernatora, czego on chce od nas? Za co on nas zabija?

Lud (*idą z Janem do kościoła.*)

Bartłomiej (*do gubernatora.*)

Czego chcecie od nas? Za co nas zabijacie? Ty nie gubernator! Ty zbój nocny! Wysyłaj telegram do cara, żeby nam pozostawił ten kościół. A jeżeli z tego kościoła chcecie zrobić cerkiew, to my pieniądze dostarczym na jej budowę.

Lud.

Pieniądzy dostarczym, dostarczym, tylko pozostawcie nam ten kościół.

Gubernator.

Ja wam pokażę, za co ja was zabijam, was nauczę tak, że wy więcej ani słowa nie odważycie się powiedzieć. A telegramu do cara ja wysłać nie będę! Ja mam nakaz zapieczętować ten kościół i zapieczętuję.

Bartłomiej.

Jeżeli nie możesz, albo nie chcesz, to choć napisz protokół, że napadłeś na nas w nocy jak złodziej.

Gubernator.

(*Nic nie odpowiada, tylko pisze dalej.*)

Bartłomiej.

(*Odchodzi naprzód sceny.*)

Gubernator pisze, jeśliby on tylko chciał, to już dawnoby coś pożytecznego napisał; a teraz mnie się zdaje, że najlepiejby zrobili moi sąsiedzi, gdyby rozciągnęli gubernatora i włożyli mu jakich 50 bizunów; ponieważ jest to wszystko jedno, my jesteśmy i tak nieszczęśliwi. A przynajmniej miałyby człowiek tyle przyjemności, że miał szczęście nabić skóry samemu gubernatorowi. (*Usłyszawszy krzyk kozaków wraca do kościoła.*)

SCENA II.

Ci sami i kozacy.

Kozacy.

(*Idą po dwóch, na czele oficer, krzycząc, śmieją się i t. d.*)

Kozak Mitrafanow (*krzyczy.*)

Ha, ha, ha! Oto pohulamy!

Kozak Borys (*krzyczy.*)

Ha, ha, ha! I wódki się napijemy!

Kozak Mitrafanow (*krzyczy.*)

A dziewcząt najpiękniejszych wybierze-
my tyle, ile nam będzie się podobało!

Borys (*krzyczy.*)

Alboż to my darmo jechali 35 wiorst?

Mitrafanow (*krzyczy.*)

Doskonale pohulamy! A chamom damy, ile tylko wlezie. Ha, ha, ha!

Oficer.

(*Gdy wszyscy uszli, odwraca się i mówi.*)

Kozacy, przygotujcie się! Powinniście

pokazać, że wy jesteście dobrymi kozakami! dobrymi sługami cara! Powinniście ani jednego nie wypuścić, a jeżeliby który chciał wam się sprzeciwić, to takiego możecie zabić jak psa. Czy zrozumieliście?

Kozacy (gdy oficer dawał rozkazy, oddają uszanowanie; gdy skończył przemowę wszyscy odpowiadają.)

Zrozumieliśmy! i uczynimy tak, jak nam nakazano.

Oficer.

Przygotujcie się, a ja pójdę do gubernatora. *(Idzie, staje przed gubernatorem, oddaje mu uszanowanie, mówiąc:)* Panie gubernatorze! Kozacy przybyli, co rozkażecie im czynić?

Kozacy (gdy oficer poszedł do gubernatora, oglądają nahajki, piki reuclicery i t. d.)

Gubernator (do oficera.)

Powypędzajcie tych łotrów z kościoła! Dajcie im nahajkami, ile tylko wlezie! *(Wychodzi z kościoła i staje po prawej stronie.)*

Oficer (wraca do kozaków i mówi.)

No kozacy! Powypędzajcie tych sukisynów z kościoła! Tylko po kozacku!

Kozacy (krzycząc.)

Słuchamy i zastosujemy się do rozkazu! *(wpadają do kościoła, biją, popychają i t. d.)*

Oficer (po chwili krzyczy.)

Kozacy przygotujcie się do strzelania!

Kozacy (odsuwają się w tył i szykują reuclicery.)

Oficer (krzycząc.)

Raz, dwa, trzy! *(strzelają.)* Raz, dwa, trzy! *(znów strzelają.)*

Paweł (upada i udaje nieżywego.)

Anna (upada wymawiając słowa.)

Jezus, Marya, Józefie święty! przyjmij duszę moją.

Oficer.

Kozacy! przygotujcie piki! Trzy kroki w tył! Piki na ręce! Naprzód marsz!

Kozacy.

(Rzucają się na ludzi, kołą pikami, rąbają z ołtarza, tłuką obrazy, zrzucają obrusy i t. d.)

Ludzie.

(Gdy kozacy z pikami rzucili się na nich, wszyscy upadają, lecz gdy gubernator zajął na kozaków, powstają z wyjątkiem Jana i Anny przedtem zabitych.)

Gubernator (do kozaków.)

Kozacy tutaj!

Kozacy.

(Na wezwanie zbliżają się do gubernatora z uszanowaniem, a Mitrafanow sięga z ołtarza ozdoby, nakrycia, niosąc takowe na przód sceny i mówi:)

Mitrafanow.

Ja pokażę, gdzie takie rzeczy trzeba położyć! Ja to położę do gnoju i z gnojem zmieszam, a katolicy szanują je jako święte, *(śmieje się.)* Ha, ha, ha! *(zaniósłszy rzeczy wraca i staje razem z innymi przed gubernatorem.)*

Gubernator.

Kozacy!

Kozacy.

Słuchamy waszej wysokości!

Gubernator.

Dobrzeście wszystko uczynili! Dziękuję wam!

Kozacy.

Radzi jesteśmy, że możemy pełnić rozkaz waszej wysokości!

Gubernator.

Kozacy!... Wszystko wasze!... Meżecie pohulać!..

Kozacy.

Pokornie dziękujemy waszej wysokości!

Ludzie.

(Podczas gdy gubernator dziękował kozakom, pozostali przy życiu uciekają.)

Kozak Mitrafanow.

(Widząc, że ludzie uciekają, krzyczy na kozaków:)

(Ciąg dalszy nastąpi.)